Tom II. Nr. 1.

1. Stycznia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O NOWYM ROKU.

(Bajka.)

Nazwiska wsi nie pomnę, ale to wiem dobrze żeć się działo w naszej Polsce. Kiedy? mniejsza i oto!...

Siedział sobie chłop w lichej chałupince pod lasem. Niegdyś, powiadali, że się miał dobrze a nawet za bogacza uchodził; ale jedną razą jak ci go była *Bieda* przysiadła, tak odtąd ani daj Boże jej się pozbyć: źle i źle, i coraz to gorzej, aż wkońcu zeszedł co się zowie na psy i gorszy był od dziada. — Jeszcze jakoś na razie nie dało mu się licho tak bardzo we znaki, przynajmniej ludzie go żałowali i jaki taki miewał u nich przytułek; ale z czasem tak się był przez tę swoją biedę osławił, że choć jego najszczersi przyjaciele i krewniacy, jużci go z daleka obchodzą jakby od tego zapowietrzonego, bo im straszno było o własną skórę, aby się przypadkowo nie zarazili na *Biedę* przez niego. Wtedy nieboraczysko może byłby się i zapomniał, bo mu już do żywego dopiekło, a nawet jużci sobie w grzesznej myśli ukręcił był sznurek z konopi i upatrzył piękną sosnę w nieda-

lekim lesie, ta iżby się juz raz na zawsze skończyło; ale jeszcze jakoś odwlekał z dnia na dzień, nie mając nigdy dosyć serca, pożegnać na zawsze i żonę i dwoje dzieci. — A tymczasem w niespodziany sposób pojawił ci mu się cudowny dobrodziej.

Było to w ostatnią noc miesiąca Grudnia. A strach powiedzieć, co to była za noc!... wichry gdyby się powściekały tak straszliwie dokazywały po polu, a taka zamieć była, że niech ręka Boska broni. — Nasz chłopek z pod lasa nie mógł oka zmrużyć tej nocy. Chałupina szarpana od wichru groziła co chwila zapaść mu nad głową. To też siedział skurczony we dwoje, a przy nim tuliła się *Bieda* wyschnięta jak szczypa, a zimna jako mróz srogi, a głodna gdyby sam głód. Zaś w kącie tej ciemnej izby leżała żona na pół konająca, a przy niej dwoje piskląt niebożątek żaliło się, straszliwie omrożonych i głodnych. Burza na polu na raz nie ustawała. I była już może północ. Właśnie tej nocy w taką burzę przepadał na wiek wieków *Stary rok* Nasz chłopek miał wielki żal do niego, więc zaklął aż ci się sama *Bieda* przestraszyła:

— Leć, leć stary, na złamanie karku, nie mam ja czego za tobą żałować, boś mi dał się we znaki, że radbym i pamięć zatracić po tobie. Gdybyś choć teraz na ten mróz, na tę zawierzuchę zabrał moją *Biedę* ze sobą, tobym ci jeszcze był wdzięczen!....

— Hi, hi — zapiszczała *Bieda* z boku i takci go przytem serdecznie uchwyciła w swoje ręce niby w kleszcze kowalskie, aże chłopisko na całe gardło zakrzyczał od bolu: — A bodajżeś przepadła! o ja nieszczęśliwy!...

Ale w tej samej chwili przypomniał sobie, że oto *Nowy rok* nastał. I przyszła mu szczęśliwa myśl, udać się w prośby do niego. Nuż wtedy wołać;

— O Nowy roku! o miejże litość nademną, i zabierz mię z tego świata, albo daj lepsze życie!....

Jeszcze nie dokończył, kiedy wedle chaty cosik straszliwie zaszumiało i drzwi się rozwarły z łoskotem. Naraz stało się jasno i tak ciepło na izbie, jakoby w najpiękniejszy dzień wiosny. Chłop się zdumiał: przed jego oczyma pojawił się pan jakiś młody. A cudnie był piękny i hoży, i dziwnej jasności

na licu. A gdy zagadał miłą mową, to chłopu zaraz się zdało że ma przyjaciela przy sobie i dziwnie mu się wesoło zrobiło na sercu, a zasie *Bieda* naszczurzyła się jak ten pies, kiedy poczuje wroga w pobliżu siebie.

— Jam jest *Nowy rok*, prawi, i przychodzę, człeku, do ciebie iżeś mię oto wzywał o poratowanie.

— O mój dobrodzieju! zawoła nasz chłopek — o jasny panie Nowy roku, a dajże ci Bóg zdrowie, skoroś o biednym człeku nie zapomniał. I chciał jeszcze coś dużo mówić i dziękować, ale gość pilnie mu przerwie mowę:

— Hola, chłopie, nie dziękuj naprzód, bo jeszcze niewiadomo czy będzie za co. Wprawdzie przychodzę tu, aby ci rękę podać i postawić na nogi, ta żebyś kiedy nie miał żadnej racyi wyklinać na mnie, tak jak to dzisiaj na mego starszego brata czyniłeś. Ale aby się moja pomoc tobie przydała, głównie to będzie od ciebie samego zależeć; dam ci trzy próby do wykonania: podołaż im, to wygrałeś sprawę — a nie, to już i ja ci nie poradzę i przepadłeś na wieki.

— O mój dobrodziejaszku! o mój łaskawco! wszystko co rozkażesz, to zrobię — zawoła chłop uradowany, a *Bieda* już spuściła nos na kwintę.

— No zobaczymy! prawi *Nowy rok.* — Naprzód tedy, mój człeku, wybierz mi się zaraz do miasta, gdzie masz nakupić leków dla twojej kobiety a dla głodnych dziatek świeżego chleba. Daję ci na to pieniędzy ile potrzeba, ale uważ sobie, abyś ich gdzie nie zapodział i na co innego nie przetracił, bo inaczej wszystko przepadło.

— Nie bójcie się, już ja się wam sprawię jak należy! krzyknął chłopisko, i gdyby z procy tak szybko wybiegł na pole i hajda do miasta. Tuż za nim krok w krok czmycha *Bieda.* Przechodzą wedle karczmy co stała na drodze. *Bieda* kusi człeka: — Brrr.... ależ to setne zimno, dla Boga! kieliszeczek by nie zawadził na ogrzanie! a właśnie też nie spią żydy, bo się świeci — co oni tam porabiają do tak późna? ano zobaczmy! —

I skusiło licho chłopa, że się zatrzymał pod oknem. A tu w karczmie jasno jakby w dzień, na kuchni wesoło pali się ogień, a tuż prawie pod samem oknem na stole porozstawiał arędarz

różne a przeróżne flaszki i flaszeczki z gorzaliną, a każda z tych flaszek niby żywą twarz miała, tak mile uśmiechała się do naszego chłoposka przez okno, a każda gdyby jej kto żywe ręce przyprawił, tak ci go wabiła do siebie, że nieborakowi aż słabo się zrobiło. Już był na samym progu, i już już co miał wejść do karczmy, gdy w tem zdało mu się tam od strony lasu zasłyszeć płacz żony i żalenie dziatek....

I wtedy opamiętał się, precz od siebie odtrącił *pokusę*, skoczył czemprędzej na drogę i co tchu zdążył za sprawunkami ku miastu. A *Bieda*, jakby jej kto na to mówiąc w twarz dał, jużci o krok dalej od niego szła w tyle, srodze zawstydzona i zła, żeć się jej tą razą nie powiodło u chłopa, i że ją przezwyciężył.

Nad ranem powrócił chłopek z drogi, przyniósł lekarstwo dla chorej żony i chleb dla głodnych dzieci, a *Nowy rok* pochwalił go że się tak pięknie na początek spisał i kazał mu pójść za sobą. Kilkanaście kroków za chałupą, idąc ku lasowi, był głęboki parów. Nad brzegiem tego parowu stanęli obaj.

— Patrz człeku — powiada *Nowy rok*, ukazując na dół parowu — widzisz tam na samym spodzie tę sosnę zwaloną od wiatru?....

— A widzę, mój łaskawco! na to chłop.

— Otóż tę sosnę masz mi do wieczora z tamtąd wydostać na brzeg. Będzie to druga próba, a również ważna jak i pierwsza. Więc ostro zabierz się do tej pracy — a niech cię Bóg broni, abyś miał ręce opuścić, nic nie skurawszy! natenczas wszystko przepadło.

Chłopek poskrobał się w głowę, bo to nie żarty w jedynaka taki ciężar i jeszcze z tak głębokiego parowu wydźwigać na górę. A tu jeszcze zdradziecka *Bieda* kłapie mu do ucha: — Głupiś ty, głupi! nie na twoje siły takowa robota, ot daremnie tylko zmachasz się nieboraku! lepiej legnij do góry brzuchem w chałupie i odpocznij sobie, bo i tak dopieroś co przywędrował z miasta — a nie kuś się nadaremnie do takiej roboty, chyba żeś zwarjował.

— Ha, myśli chłop, zobaczymy czy nie dokażę, pracujący przez cały dzień szczerze! — I splunął w obie garście, a potem

śmiało zsunął się z brzegu do dołu. Prawie do samego południa nasuszył sobie głowy nie lada, jakiejby to sztuki zażyć wedle tej sosny, ta żeby ją na wierzch wydobyć; więc obchodził ją to z tej to z owej strony, próbował tak i owak, aż nareszcie po długiej pracy doszedł przecie sposobu, i dokazał swego, bo jeszcze przed nocą wywindywał sosnisko na brzeg. *Nowy rok* znowu go pięknie pochwalił, poprowadził do domu na miły spoczynek, ukazał mu żonę w lepszem zdrowiu i dziatwę bawiącą się wesoło, i drzwi od chaty już teraz zamknął przed *Biedą*. Alećta *Bieda* to uparta sztuka! nie zaraz da się ona odpędzić za dziesiątą górę! oj dobrze trzeba się z nią naborykać zanim się jej pozbędzie!.... Toć i tu chociaż jej drzwi przed nosem zamknięto, taki się nie dała odstraszyć, i przykucnęła sobie jak niepyszna pod progiem, myśląc w duchu: — Choć ta chłopu dwie próby się udały, może się przy trzeciej poszkapi. Bo i tak nieraz bywa, że ktoś całą rzekę przepłynie a u brzegu utonie.

Toć to jeszcze sprawa nasza nie przegrana; czekajmy do jutra! — I czekała *Bieda* zaczajona przez całuteńką noc pod progiem.

A nazajutrz miałci sobie nasz chłopek zadane na trzecią próbę: zebrać się rychło świt i pójść na mszę świętą do parafialnego kościoła, który stał za lasem w drugiej wsi.

— Będziesz miał człeku — przestrzega *Nowy rok* — nielada przeszkody, strachy stawać ci będą na drodze, przeróżne pokusy odwodzić od domu Bożego — ale ty się nie daj obałamucić, idź sobie śmiało prostą drogą, odmawiając: *Kto się w opiekę poda panu swemu*.... aż dojdziesz do samego kościoła. Tam się wyspowiadasz ze swoich grzechów, pomodlisz się gorąco o błogosławieństwo Boskie na dalszy twój żywot, i dopieroż spełniona będzie ta twoja trzecia i ostatnia próba, po której już ja *Nowy rok* zaręczam tobie, że ani za mego panowania ani też nigdy potem, nie zaznasz tej paskudnej *Biedy* u siebie.

Nasz chłopek ślicznie mu się pokłonił i zaklął się na wszystko w świecie, że bądź jak bądź, ale i tej trzeciej próby dokazać musi.

— O ta *Bieda*, ta *Bieda!* powiada — już też mi ona,

jasny panie *Nowy roku*, dość gorącego sadła zalała za skórę. Radbym się jej pozbyć jak najrychlej i dla tego z ochotą uczynię po raz trzeci wedle twego rozkazu, a choćby mi przyszło i raczkiem zawlec się do naszego kościoła.

Rzeczywiście nazajutrz, jeszcze dobrze nie rozświtało, a chłop już był na drodze do kościoła. Za nim w te tropy i *Bieda* pognała. Przyszedłszy do lasu poczęła wymyślać na chłopka: — A ty błaźnie! a czy ci rozum odjęło żeś się tak wczas wybrał do kościoła! a to po co? albo się w domu tak dobrze pomodlić nie możesz jak i w kościele?.... widzisz jakiś ty durny, jeszczeć sobie pociemku guza nabijesz o jakie drzewo!....

Ledwo co rzekła, a tu chłop szturk głową o sosnę której nie dowidział w ciemności, aż się całem ciałem zatoczył i omal jak długi nie rozciągnął się na ziemię. *Bieda* w śmiech: — Masz tobie teraz! a com mówiła? Dobrze ci tak, poczekaj! jeszcze nie koniec na tem, zobaczę ja wkrótce że się gdzie w jakim dole skąpiesz po uszy w śniegu.

— Szczekaj sobie, szczekaj, paskudnico jakaś! bąknął chłopek pod nosem i ruszał śmiało dalej, rozpatrując się pilnie za drogą. Ale właśnie, znaleść mu tam było drogi kiedy wszędy śniegiem pozamiatało i nie znać było najmniejszego śladu. Wnet też stało mu się jak *Bieda* przepowiadała: buchnął w jamę zasypaną śniegiem, aż prawie po same uszy się schował i ledwo z biedą co się na wierzch wygramolił.

A ona pokuśnica znowu swoje: — No jeszcześ nie mądry? jeszcze ci się zachciewa kościoła?... a bodajże cię wilcy zjedli! bo i o to w lesie nietrudno.

Oj, taże prawda! chłop aże struchlał na razie, kiedy spojrzał na bok w gęste krzaki, a z tamtąd załyskały ku niemu dwoje wilczych ślepiąt niby dwie palące się świeczki. A jeszcze bardziej się postraszył, kiedy wyraźnie usłyszał, jak tam wilczysko zębcami kłapał o koście, co je z mięsa obgryzał. Ale niebawem opamiętał się ze swego strachu, i począł na głos przepowiadać sobie modlitwę: „*Kto się w opiekę poda Panu swemu*“ — i dalej w drogę. — Już też i rozwidniło się; z dniem chłopu ducha przybyło, a zaś *Biedzie* diabelnie poszło po nosie, skoro tu już widzi koniec lasu, i wieś niedaleką i błyszczący

krzyż na kościółku, a chłopek wali naprzód a głuchy jakby z kamienia był na jej wszystkie pokusy. — Aliści wychodząc z lasu, patrzy: drogą ode wsi sunie żwawo kilkoro sań, a na nich luda jak nabito, a wszystek tak dziwnie był wesoły: kobiety spiewające, chłopy trzaskający z batów i wykrzykujący od czasu do czasu. Znać gdzieś z jarmarku wracali, a nie żałowali sobie przez noc poczęstnego, że w takiej wesołości byli. Widząc to *Bieda* aże z radości podskoczyła na obie nogi i przyklasnęła sobie w dłonie: — Poczekaj paniczu! powie — jeśli cię teraz nie złapiemy, to już nigdy.

Tymczasem owa drużyna wesoła coraz bliżej najeżdżała na naszego chłopka, spieszącego się na mszę do kościoła. Nareszcie trza im się było z drogi ustąpić. Pierwsze sanie minęły go i nic, drugie także, ale na trzecich powoził jakiś chłopisko zawadyja. Ten skoro zajrzał naszego chudopachołka, duchem powstrzymał konie i paląc mu z bata nad uchem, woła: — A niełaskaby z nami do kompanii? hej!

— Bóg wam zapłać! odrzecze nasz chłopek i chce dalej; ale tamten w tej chwili ze sanie, i zaskakuje mu drogę:

— Co dziękujesz kpie jakiś! krzyknął i za barki go chwyta — siadaj kiedy cię proszą i kwita.

— Ależ nie mogę! wyprasza się nieborak. — Puszczaj mnie, człeku, co ciebie nie znam, i nie napastuj podaremnie ludzi.

— Siadaj! wrzeszcze pijanica i jużci go przez moc wlecze do sań — póki cię proszę po dobremu, ty! bo jak zacznę bić to będzie gorzej, siadaj!

Toż samo i drudzy proszą, to znowu klną aż brzydko było słuchać, a od wszystkich buchało już zdaleka gorzałczysko jak z kotła. I byliby już może wciągnęli go między siebie; ale nasz chłopek cięta sztuka, skoroć zmiarkował, że tu nie przelewki, i że gotowi go nareszcie przemódz, czemprędzej pochwycił pijanicę w pół i jakby klockiem pomiótł nim na ziemię, a sam tymczasem dał susa w bok i dalej w nogi ku wsi, zkąd już właśnie słychać było dzwonienie na mszę świętą.

Temu wszystkiemu przypatrywała się *Bieda* z daleka. Już też cieszyła się że chłopa posiędzie na powrót — aż tu widzi: źle! chłop zmyka ku wsi jakby go sami diabli gonili, a pijaczyska

w swoją stronę pognali. Już tedy nie miała czego wyglądać, przegrała sprawę ostatecznie i musiała się rada nierada chłopa odczepić. I poczmychała w las na cztery wiatry... ta niechby ją tam wilcy zagryźli tę paskudną *Biedę*, żeby już nigdy po naszych ludziach nie chodziła!...

Owóż nasz chłopek i trzeciej próby szczęśliwie dokonał; do kościoła przyszedł na czas, wysłuchał mszę świętą i pięknie się wyspowiadał a pana Boga prosił gorąco o błogosławieństwo na dalszy żywot.

A kiedy po mszy świętej wychodził z kościoła, to mu się prawie tak wydało, jakby nowo narodził się na ten świat, taki był jakiś wesoły, taki szczęśliwy, a wszędy gdzie okiem rzucił widział samą przyjaźń dla siebie; znajomi zachodzą mu w drogę, witają: — A jakże się macie, miły kumie! a co tam porabiacie? a żona, dzieci zdrowe?....

— Dobrze, dobrze! odpowiada chłopisko nieprzytomnie jak ten pijak co sobie głowę zabałamuci wódką. Oj, i pijany on był, i bardzo pijany, ale nie od wódki ani od piwa ani też od jakiego trunku, jeno od szczęścia wielkiego, co mu się tak niespodzianie pojawiło. — I przecie mu raz dali pokój z witaniem i puścili szczęśliwego do domu. I było już gdzieś niedaleko południa kiedy wychodził z lasu. Patrzy, gdzie chałupina jego co była pod samym lasem:

— O Jezu Milatyński! zawołał i stanął jak wryty na miejscu. — A to co się podziało!...

Ba, i miał się czemu tak bardzo dziwować: chałupinka gdzieś znikła dorazu jakoby jej nawet nie było, a natomiast stanęło domostwo pięknie obudowane, z oborą, z stodółką i pysznym sadem do koła.

Stoiż chłop pod lasem i oczom swoim nie dowierza, a wtem ktoś go uchwycił za ramię: był to *Nowy rok*. Nasz chłopek pokłoni mu się i powie:

— O mój dobrodziejaszku! a toć mię tu widzisz stojącego jak głupca, bo dali Bóg że nic nie wiem, co to wszystko ma znaczyć?....

— *Boskie to błogosławieństwo*, człeku, coś go sobie dziś rano wymodlił w kościele — odrzecze *Nowy rok* i pociągnie

go za sobą do domu. Skoro weszli na dziedziniec, naprzeciw wybiegła gospodyni czerstwu i zdrowa kobieta, ani znać było na niej chorobę, a wystrojona czysto, a na szyi pełno korali jak u bogaczki. Własny mąż odpoznać ją nie mógł, dopiero kiedyć mu się rzuciła na szyję i nazwała go po imieniu, przekonał się, że to sprawiedliwa jego baba. W izbie znowu dzieci przebrane w czyściuchną bieliznę, wesoło biegną do ojca i mile go witają. — Przez ten czas *Nowy rok* nic nie mówił, jeno z boku przypatrywał się ludzkiemu szczęściu, a niebieska jasność ogarnęła lica jego.

Skoro zaś chłop już dosyć nacieszył się i żoną, i dziećmi, i tem całem swojem bogactwem, wtedy dopiero przemówił *Nowy rok:*

— Owóż skończyliśmy już ze sobą, mój człeku! teraz wypada nam w przyjaźni się rozstać. Bywajże mi zdrów, a popamiętaj sobie dobrze, jaką to próbą doszedłeś do tego szczęścia, co go masz dzisiaj; musiałeś się wyrzec kieliszka, po raz pierwszy — musiałeś pracować ciężką i pilną pracą, po raz drugi; a taki jeszcze *Bieda* trzymała się proga twego, dla czego? bo nie było w tem jeszcze Boskiego błogosławieństwa— dopiero za trzecim razem, uprosiwszy go sobie u Boga w gorącej modlitwie, napędziłeś *Biedę* precz i oto jak się szczęśliwie wszystko przemieniło dla ciebie. Szanujże się, chłopie, i czyń tak przez całe życie twoje jak gdybyś miał zawsze odbywać te trzy próby, które ja *Nowy rok* tobie zadałem, a do końca żywota twego nie będziesz potrzebował narzekać i wyklinać na *zły rok*, bo same *dobre lata* nastaną dla ciebie.

To mówiąc od razu znikł, jakoby się w powietrzu rozpłynął, i na tem już koniec. —

Co się tam dalej działo z tym chłopkiem, czy był taki szczęśliwy na zawsze, albo nie? — o tem nie słyszeliśmy z nizkąd, to wam też i nie powiemy. Toć jeno wiadomo dobrze, że *Biedę* nie zagryźli wilcy w onym lesie, owszem do dziś dnia rozkosznie się chowa między naszymi ludźmi i wcale to jej zdrowiu nie szkodzi, żeć ten i ów srodze na nią wyrzeka i paskudzi jak ostatnią łajdaczkę.... *„Pop swoje a czart swoje.“* — I powiadają że już nie ma na *Biedę* sposobu! co zaś nieprawda.

Jestci i na nią pewno lekarstwo — jakoż znajdziecie go w tej bajce o *Nowym roku*, jeśli pilnie poszukacie.

Na nowy rok.

Bogdaj rok nowy był nam weselszy!
Bogdaj człek stanął na duszy bielszy —
Bogdaj z tym Bogiem, co na świat schodzi,
Poczuł że Bóg mu w sercu się rodzi!
I z Aniołami czysty anielsko,
Witał go co dnia przed strzechą sielską,
W boru, na kośbie i na swej roli,
I w onczas kiedy serce zaboli.

Bogdaj rok nowy był nam weselszy!
O! bo łez wiele kosztował stary.
Niechby człek patrzał w niebiosa śmielszy,
I ufał, i był żelaznej wiary.
I gdy go ucisk albo grzech gniecie,
Otrząsł go z siebie szorstkiemi dłonie,
Jak pył otrząsa, co go omiecie
Nieraz przy pracy tam na zagonie.

Bogdaj ten bocian, co wróci z wiosną,
Bogdaj jaskółka pod nasze strzechy
Wieść nam przyniosły z dali radośną,
I dla zbawienia i dla pociechy.
O! bo te ptaki to Boże posły!
Spytajcie ojców — oni powiedzą
Że już im nieraz dobrą wieść niosły;
I szczęście bywa gdzie się osiedzą.

I niech nam słońce wstające z rana,
Gdy pociągniemy z pługami w pole,

Otworzy oczy na wolę Pana,
Na lepszą wolę i lepszą dolę,
I niechaj spali ten płomień Boży
Tych co roznoszą fałszywe wieści —
Niechaj zły szatan wielce się strwoży!
Bo szatan sprawcą naszej boleści. —

A kto mogiłę ujrzy na błoni,
Niech o niej pyta u starych ludzi.
Starzy powiedzą o starej broni.....
O dziadach dawna wieść się obudzi.
Słuchajcie pilnie, gdy stary prawi
Jako kto zginął, jako się wsławił.
Myślcie, co każdy swoim zostawi?.....
I..... bogdaj Bóg nam pobłogosławił!.....

Mieczysław R.

Stacho Frydka. *)

(Zdarzenie prawdziwe.)

We wsi Kawęczynie był najzamożniejszym gospodarzem Matyasz Mantyk, człek luterskiego wyznania. Lecz potrzeba przyznać, że był porządnym, pracowitym, uczciwym, a przedewszystkiem rządnym. Miał trzech parobków polaków i katolików: Janka, Stacha i Maćka, i czwartego niemca Jakóba. Jednę dziewkę miał polkę, katoliczkę Jagusię, a drugą do domowej posługi niemkę, Karolinę. Z tego wszystkiego widzicie, że śliczny musiał mieć szmat roli, i że tam i dobytku podostatkiem było, skoro tyle trzymał czeladzi.

---

*) Wprawdzie ta historja o *Stachu Frydce* nie dotyka nas tu w Galicyi, jako żeśmy tu wszyscy prawowierni katolicy i z lutrami nic nie mamy do czynienia; ale zawsze ciekawe to zdarzenie. Bo naprzód: działo się to w *Wielkiem księstwie Poznańskiem* czyli w tak nazwanej *Wielkopolsce*, zostającej pod rządem Pruskim; więc nie zawadzi też od czasu do czasu posłuchać, jakto się tam dzieje pomiędzy Wielkopolanami a braćmi naszymi — powtóre zaś pokazanem jest w tej prawdziwej historyi, jakto brzydko być człekiem łakomym, i jak taki łakomiec zbyt łatwo poddaje się grzesznej pokusie i jeszcze potem na śmiech ludzki się wystawia. A toć taka nauka, myślę, nie zaszkodzi nikomu, a może nie jednemu z nas wypaść na dobre.

W ostatni Wtorek sute wszystkich spotkało poczęstne, Gospodyni przyrządziła im pełną misę kiszek i kiełbasę z czosnkiem, do tego kapusty i ziemniaków, skraszonych przewybornemi skwarkami. Gospodarz zaś nalał im po sporej lampie słodkiej a mocnej wódki. Poczem tak do nich zagadał:

— Słuchajcie-no teraz, moi kochani! Wiecie, że jestem luterskiego wyznania, i że u nasz postów nie masz. Teraz zaś dla was katolików nadchodzi od jutra post wielki. Ani ja, ani moja żona, uchowaj nas Boże! nie chcemy, ażebyście przeciwko wierze swojej grzeszyli, — to też dla was którzy pościć chcecie, gospodyni nasza postne sporządzi potrawy. Czy wszyscy przez post cały pościć chcecie? pytam — bo jeżeli z was który zamną i Jakóbem woli mięso spożywać, to niechaj się odezwie.

Janek i Maciek od razu wyrzekli:

— Jużci, miły gospodarzu, tak nam wiara święta nasza nakazuje. I Bóg wam zapłać, żeście na to baczyli, i żeście złego dla nas nie żądni.

— Uchowaj mnie, panie Boże, od tego! — powtórzył raz jeszcze Mantyk.

Nadeszła Jagusia i także prosiła, by z postem jadać mogła.

— No, a ty, Stachu! — zwrócił się gospodarz do trzeciego parobka, który stał sobie nic nie mówiąc, jeno oblizywał się jeszcze po kiełbasie i skwarkach. — Możebyś ty wolał zemną jeść mięso?

Stacho targnął się za palce, że aż w stawach trzasnęły i patrzał się na stół. Znać mu żal było mięsa i słoniny.

— No, to i gadajże przecie? — zapytał raz jeszcze Mantyk.

— Ha! no! — Stach przestąpił z nogi na nogę — kiedyć się tak dopytujecie, panie gospodarzu, toć już wolę wasz posiłek aniżeli tamtę jałowiznę. Człek jakoś i do roboty rzeźwiejszy kiedy posili się lepiej.

— Dobrze, mój kochany, dobrze, jak zechcesz — odrzekł Mantyk i rozśmiał się z cicha, niby sam do siebie.

Parobcy Janek i Maciek coś tam poszeptali, a potem każdy do swojego poszedł zatrudnienia.

Od samego popielca aż do wielkiej niedzieli Mantykowa przed Janka i Maćka jeno postne stawiała potrawy, dobrze spo-

rządzone, smaczne i zdrowe. Zaś Stacho siadywał przy gospodarzu i mięso z nim zajadał. A niekiedy to nawet niby z przekąsem spojrzał, jak tamci zajadali polewkę albo kaszę.

Tak nadeszła wielkanoc. Przez cały wielki tydzień była krzątanina w domu. To też całe gospodarstwo już we wielką sobotę wyglądało tak czysto i schludnie, że aż miło było patrzeć.

We wielką niedzielę raniutko wysłali gospodarstwo Janka z koszem różnego jadła do święcenia przed kościół. Czemu dziwili się wszyscy, boć Mantykowie lutrami byli, a tacy święconego nie miewają.

Gdy Janek wrócił, zawołał gospodarz całą czeladź do izby.

— No, moi mili — przemówił — Janku, Maćku i Jagusiu pościliście przez półsiodma tygodnia, toćże się wam teraz i święcone należy.

Gospodyni wniosła dla nich trzy misy, a na każdej było: spory kawał przedziwnej szynki, pół łokcia wędzonej kiełbasy, pół prosięcia pieczonego, dwa jajka, kawałek sera, połowa gryzki, masło, pieprz i sól, i placek gruby na cztery palce, pulchny, z cukrem i rozenkami po wierzchu, że aż pachniał.

— Chodźcież tutaj — przemówił znowu gospodarz — to twoje, Janku, to twoje, Maćku, a to twoje Jagusiu — i rozdzielił pomiędzy nich trzy misy. Każde skłoniło się obojgu gospodarstwu z uśmiechem.

— Ty zaś, Stachu — mówił dalej Mantyk — zjesz ze mną jak za zwyczaj, *frydki*. Myśmy nie pościli.

Staśko obejrzał się na święcone, myślał, że i on swoje dostanie — i aż gockliło, gdy gospodarz tak do niego przemówił.

Karolina stół nakryła i przyniosła *frydkę*.

No, Jakóbie i Stachu! — zawołał Mantyk znowu, i pierwszy począł *frydkę* zajadać.

Za jego przykładem poszedł Jakób, a potem i Stacho — bo i cóż miał począć? Jeść mu się chciało. Ale gdy raz jeszcze na święcone spojrzał, to aż niby świeczki stanęły mu w oczach.

A wiecież co to jest *frydka?* Ot, coś niby, jak zacierka albo kruszonka gęsta na wodzie, z mąki żytnej. Śliczny mi

przysmak we wielką niedzielę, kiedy inni zajadają kiełbasy, szynki i placki wyśmienite!

Stacho jak zmyty przez dzień cały chodził.

W drugie święto powtórzyło się znowu to samo. Janek i Maciek dostali święcone, a Stacho *frydkę* przy stole gospodarza.

— .... wciornascy! — zaklął też nielada — byłbym wolał pościć, aniżeli chłypać teraz tę jałowiznę.

Gorzej jeszcze było, gdy parobcy w niedzielę do karczmy poszli. Wszyscy tam już o *frydce* wiedzieli, i niejedna rażna dziewucha z przekąsem zapytała Stacha:

— Staśko, a smakowała ci *frydka?*

I to tak poszło we zwyczaj, że nieraz kiedy mówiono o Stachu, dodawać lubili: oj, ten Stach *Frydka* — a zostało mu już to przezwisko na całe życie.

Paulina z L. Wilkońska.

PIĘKNY PRZYKŁAD

sumienności jednego sługi.

Franciszek Grzywacz był rodem z Poznania, a mieszkał w Warszawie, wielkiem mieście, służąc za kucharza u X. X. Pijarów. Miał żonę i dwoje dzieci, majątku żadnego bo i zkądby go wziął?.. zarobek wszystek szedł na jakie takie utrzymanie domu, a zaś innych tak nazwanych pokątnych obrywek nie miał, ani też jako rzetelny sługa łapczywy był na nie. Ot żył sobie krótko powiedziawszy jak Bóg przykazał: chociaż ubogo ale uczciwie.

I będzie temu lat trzy i cosik tam jeszcze miesięcy, gdy razu jednego wyszedł sobie Franciszek za sprawunkami na miasto. Spiesząc przez ulicę Miodową, potrącił o jakąś rzecz leżącą na ziemi. Patrzy coby to było, i widzi że to jakaś torbeczka skórzana, którą zapewnie ktoś przypadkowo zagubił.

A kiedy wziął ją do ręki i popatrzył co się w niej znajduje, przekonał się iż to był schowek na pieniądze, i do tego wcale niepróżny. Znajdowało się w nim blisko do 2000 naszych reńskich papierami, i jeszcze wiele innych papierów kupieckich, które także miały swoją wartość.

Cóż tedy Franciszek nie robi! może myślicie, że znaleziony grosz uważał już za swoją własność, i zechciał z niego użytek zrobić dla siebie i dla swoich dzieci?.... A broń Boże! nawet mu to przez myśl nie przeszło, choć jaki był biedny i potrzebny grosza. Wiedział on dobrze, iż cudza krzywda nie zbogaci nikogo, a kto ją przyjmie na swoje sumienie, to mu kamieniem zacięży — i trudniej mu przyjdzie dźwigać się z krzywdą ludzką, aniżeli z samą biedą. Dla tego też z daleka od siebie trzymał wszelką pokusę, i prostą drogą puścił się do urzędu z znalezionemi pieniądzmi. Tam co do grosza złożył wszystko, opowiedział dokładnie w którem miejscu znalazł i o jakiej godzinie, i dopiero z tamtąd poszedł sobie dalej za sprawunkami na miasto.

Ma się wiedzieć, że zguba nie długo leżała w urzędzie. Wkrótce potem znalazł się ich prawy właściciel, który sam nie wiedząc gdzieby je podział, jużci tego i owego ze swoich sług miał w posądzeniu, że mu niby oną summę skradli; aż się dopiero pokazało, że to nieprawda, i że jakiś biedny sługa znalazł je na ulicy Miodowej. Skoro się wywiedział o nazwisku swego dobrodzieja i gdzie mieszka, pobiegł natychmiast do niego, aby mu za to pięknie podziękować, i nadto za jego fatygę wynagrodzić.

Aleć największą nagrodę już tu sobie sam Franciszek Grzywacz wypłacił, zachowując się przy czystem sumieniu — i dając ze siebie taki *piękny przykład sumienności* dla drugich.

RÓŻNOŚCI.

Jan III. pod Wiedniem. Niedużo było takich rycerzy na świecie, jak nasz król polski, Jan III. po ojcu Sobieski zwany. Ten gdy przyszedł

z wojskiem swojem pod Wiedeń, wielkie miasto cesarskie, które natenczas było w srogiem oblężeniu przez Turków i gdyby nie jego pomoc dzielna, niechybnie byłoby w ręce poganów popadło — zanim jeszcze stanął z nieprzyjacielem do boju, od wielkiego ich hetmana, którego inaczej Wezyrem zwano, odbiera przez posla kwartę maku i taką wiadomość na piśmie: „Waszmość królu Janie III.! racz przyjąć i policzyć tę kwartę maku, a jak go zrachujesz, dopiero się dowiesz o liczbie mojego wojska.“

Widocznie było, że sobie ten pan hetman turecki chciał z króla naszego żarty stroić, jakoby rzekł: że się porywa z motyką na słońce. Ale Sobieski nie w ciemię bity i nie długo myśląć, jeszcze przez tego samego posłańca takiem pismem się odciął: „Wezyrze! powiada — liczyć kwartę twojego maku, byłaby zbyt wielka mitręga czasu, i zresztą nacóżby się przydało liczyć twój mak?... Posyłam ja ci kwartę pieprzu, który masz nie liczyć ale zjeść, co jest rzecz bardzo prosta; a jeśli go zjesz, poznasz dzielność mojego wojska.“ — I tak się też wkrótce stało, jak powiedział król Jan: Nasi nie zważali na Turków, chociaż ich była taka moc nieprzeliczona, wpadli na nich niby sroga burza, rozbili w puch całe wojsko pogańskie i niedość że Wiedeń od nich oswobodzili, ale jeszcze z królem Janem na czele pognali za nimi na Węgry. I przekonał się ów hetman turecki, że łatwiej było królowi polskiemu uporać się z jego kwartą maku, niż jemu zjeść kwartę pieprzu polskiego.

W pierwszych dniach tamtego miesiąca późno wieczorem wybuchł przez nieostrożność ogień w *Uszwicy* pod Wiśniczem u włościanina Ignacego Karasia. Gospodarz z żoną i starszemi dziećmi zbyt długo zabawiał się ratowaniem sprzętów domowych, tak, iż ogień nagle potem chałupę ogarnął i nie było już którędy uciekać. Na próżno wołali o ratunek, niepodobna było przystąpić do ognia... zginął nieszczęsny ojciec i matka z czworgiem dzieci, z których najstarsze liczyło lat 19, a najmłodsze półtora roku.

Dawne przysłowia.

1. Każda liszka swój ogon chwali.
2. Trzyma się jak pijany płota.
3. Na pszennej ziemi tak się nic urodzi, jak w głupich głowach.
4. Na to kowal ma kleszcze, iżby się nie sparzył.
5. Gdzie nie masz kary, tam też nie ma miary.
6. Patrz lepiej swego, niż nosa cudzego.

Redaktor: B. Bielawski. **Odpowiedzialny wydawca: E. Winiarz.**